

„Święty” od piątku w kinach

MIAŁEM MOMENTY WYPALENIA

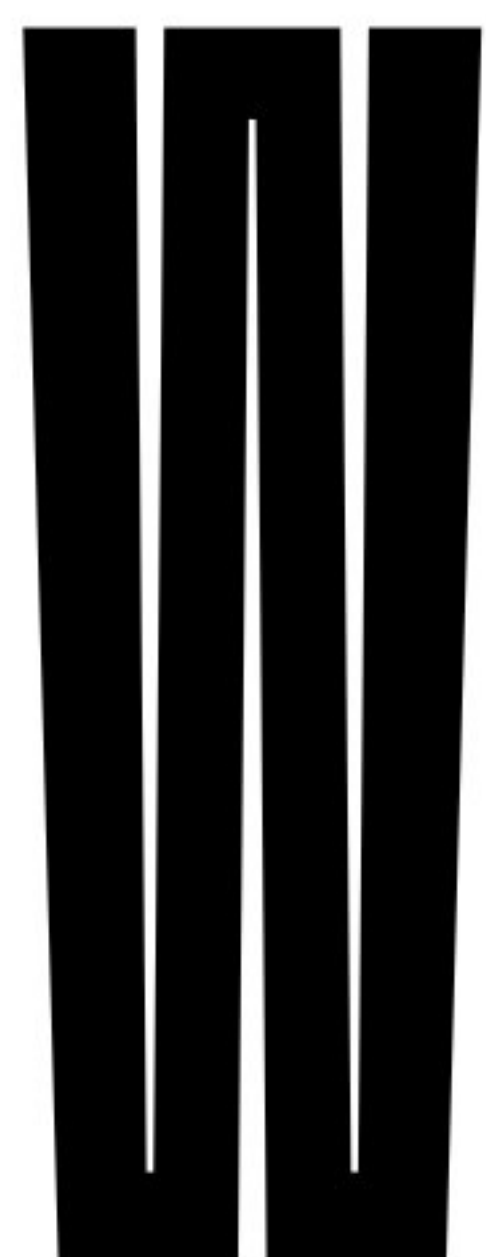


• Matusz Kościukiewicz jako porucznik Andrzej Baran w „Świętym”. Zdjęcia realizowano m.in. w katedrze gnieźnieńskiej i w Poznaniu

RAFAŁ PIJANSKI/MAT. PRASOWE

– Zastanawiałem się, jak to jest być elementem aparatu opresji, niekoniecznie będąc na froncie działań opresyjnych. Przecież milicja kryminalna zajmowała się sprawami kryminalnymi. Oni nie zamordowali księdza Popiełuszki.

Jacek Szczerba



Wchodząc do kin „Świętym” Sebastiana Buttnego Matusz Kościukiewicz gra porucznika Milicji Obywatelskiej Andrzeja Barana. Prowadzi śledztwo w sprawie kradzieży srebrnej figury św. Wojciecha z bazyliki archikatedralnej w Gnieźnie. Scenariusz, choć jest fikcją literacką, nawiązuje do prawdziwych wydarzeń z marca 1986 roku.

ROZMOWA Z
MATEUSZEM KOŚCIUKIEWICZEM*
aktorem

JACEK SZCZERBA: Jak trafił pan do „Świętego”?
MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ: Reżyser zaproponował mi tę rolę. Nie znaleźliśmy się wcześniej. Dał mi scenariusz, uznałem, że to fajna historia, fajna rola, dużo fajnych postaci dookoła.

Grywa pan zwykle bohaterów ofensywnych, Baran jest raczej wycofany. Na głowę wchodzi mu nawet żona.

– Taki był pomysł reżysera. Zaczęliśmy rozmawiać, czego ode mnie oczekuje. Ja grałem już w kilku filmach, których akcja rozgrywała się w latach 80. Zastanawiałem się, jak to jest być elementem aparatu opresji, niekoniecznie będąc na froncie działań opresyjnych. Przecież milicja kryminalna zajmowała się sprawami kryminalnymi. Oni nie zamordowali księdza Popiełuszki.

Pracuję przy filmach już 17 lat, role większe i mniejsze. Miałem momenty zwąhania, wypalenia. Czuję jednak, że nabrałem przez ten czas doświadczenia. Jestem w stanie zaproponować poziom profesjonalizmu, do którego zawsze dążyłem. Zresztą to jeszcze nie koniec.

Pochodzi pan z Nowego Tomyśla. Tam spotkał pan osobę, która pchnęła pana ku aktorstwu.

– Renatę Śmiertelną, absolwentkę Wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie. W ośrodku kultury prowadzi kilka grup teatralnych. Podsunęła mi wiersz i powiedziała: „Przeczytaj mi to”. Przeczytałem. I to zmieniło wszystko.

Co to był za wiersz?

– Niedawno mój syn wyjął z półki mój stary tomik poezji Rafała Wojaczka. Przeglądając go, pomyślałem: „To chyba było to”. Aż wyrwałem tę kartkę. Ale nie jestem pewien. Są trzy mocne kandydaty – Różewicz, Rilke albo Wojacek. Choć poemat Rilkego wykorzystywałem chyba później.

Proszę opisać panią Śmiertelną, żebyśmy mogli ją „zobaczyć”.

– Jej osobowość zajmuje cały pokój. To kobieta superlekka, ma ogromny wdzięk. Mimo swej ostrej powierzchowności jest delikatna i wrażliwa. Bardzo krótkie, włosy. Nosi poncza, bo jest ciepłolubna. Gdy jest jej zimno, jest zła. I nieodłączne okulary. Przeczytała już wszystko, więc teraz pożera nowości. Ośrodek kultury jest obok biblioteki. Czasami miałem wrażenie, że zanim książki trafią do biblioteki, muszą przejść przez jej biurko.

Ja w niej zobaczyłem nadzieję. Gdy kończyłem liceum, całe moje pokolenie wyjechało z Nowego Tomyśla. Na zmywak, bo akurat było można.

Namówiła pana na pójście do szkoły teatralnej.

– Dostałem się na wydział lalkarski we Wrocławiu, choć zdawałem też gdzie indziej. Najważniejsze było, żeby wyjechać. We Wrocławiu spędziłem fajny rok. Wcześniej istniała rywalizacja między wydziałami lalkarskim i aktorskim. Nasz rocznik to zniwelował. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą, mieszkaliśmy razem. Wynikło z tego parę małżeństw i dzieci. Ale po pierwszym roku pani dziekan dała mi poprawkę, żebym bardziej przykładał się do studiowania niż do życia studenckiego.

Wyjechał pan.

– Do Krakowa na wydział aktorski. Studiowałem siedem lat i nie skończyłem nawet drugiego roku. Czasem ktoś teraz mówi mi: „Byliśmy razem na roku?”. „Tak? Na którym? Który raz?”. Przed samym sobą broniła mnie stara gwardia: rektor Stuhr i prorektor Globisz. Ze Stuhrem nigdy nie zagrałem, z Globiszem w Teatrze Telewizji, w „Dolinie nicności” (2010) Bronisława Wildsteina. Czuliśmy się z nim bezpiecznie. Skoro prorektor jest ze mną, to wolno mi grać na studiach. W Krakowie okazało się, że teatr to nie jest świątynia, do której chcę chodzić. Wybrałem plan filmowy – cygański i obwoźny, z bandą wagabundów.

Kto pana do filmu zaprosił?

– Ewa Brodzka ściągnęła mnie z Paryża do „Tataraku” (2009) Wajdy. Przekonywała: „Wszyscy czekają, to na bank będziesz ty”.

W „Tataraku” pan jednak nie zagrał. Dlaczego?

– Bo wszyscy – Janda, Wajda, producent Kwieciński, operator Edelman – przyszli zobaczyć aktora, który będzie grał. A on słowa z siebie nie wykrztusił. Myślałem, że tam umrę. Na pocieszenie dali mi epizodzik grającego w karty.

Z reżyserów zagranicznych najpierw poznał pan Petera Greenawaya przy okazji „Nocnej straży” (2007).

– Zdjęcia próbne odbywały się w wytwórni we Wrocławiu. Wchodzę, mówię, jak się nazywam. Dookoła masa ludzi. Poproszono, żebym usiadł. Greenaway siedział dwa metry dalej. Popatrzył i... rzucił we mnie długopisem. Złapałem długopis,

miałem refleks. „Ten mi się podoba” – powiedział. Wychodząc, ostrzegłem czekających: „Uważajcie, rzuca przedmiotami”.

Pogadaliśmy chwilę. Ze wszystkich ról, które były do obsadzenia, Greenaway dał mi tę największą – Hermana Oostera, asystenta przy Rembrandcie, czyli Martynie Freemanie, który nie był jeszcze Hobitem ani dr. Watsonem.

Liliana Cavani zrobiła z panem „Na imię miał Franciszek” (2014), swój trzeci film o św. Franciszku. W poprzednich grali Lou Castel i Mickey Rourke.

– Tym razem świętego miał grać inny aktor, ale zaczęła się era Netflixu i tego aktora im podkupili. Ja w 2014 roku dostałem w Berlinie nagrodę Shooting Star „dla najbardziej obiecującego młodego aktora europejskiego”. I reżyserka castingu przyjechała po mnie. Pasowałem w wyglądzie: długie włosy, look chrystusowy. Powiedziała: „Za tydzień zapraszamy do Rzymu na zdjęcia próbne”. Grałem po angielsku, nauczyłem się trochę włoskiego. Pół roku tam siedziałem.

W świecie filmu, także polskiego, funkcjonuje popularny stereotyp: mąż reżyser i żona aktorka, którą on musi ciągle obsadzać w swoich filmach. W pana przypadku jest odwrotnie: to żona, Małgorzata Szumowska, jest reżyserką. Czy domaga się pan, żeby pana obsadzała? – Małgosia zaczęła właśnie na Dolnym Śląsku zdjęcia do nowego filmu. Chciała mnie obsadzić w mniejszej roli. Powiedziałem: „Weź, daj se spokój. Nie mam czasu”. Zrobiliśmy razem dwa filmy. Może jeszcze kiedyś będzie okazja.

Sam troszczy się pan o siebie. Wspólnie z Maciejem Bochniakim napisał pan dwa scenariusze.

– Role, które napisałem w nich dla siebie, zagrał ktoś inny. W „Disco polo” napisałem dla siebie rolę główną. Dostał ją Dawid Ogrodnik. W „Magnezji” pisałem dla siebie inną rolę, nie powiem jaką, ale poukladało się tak, że zostałem jednym ze zrosniętych braci, razem z Ogrodnikiem.

Bycie scenarzystą jest frustrujące, przynosi wiele rozczarowań. Dlatego zatrudniałem się w różnych filmowych pionach: w produkcji, w transporcie. Organizowałem zagraniczne wyjazdy na festiwale: z Jackiem Drosio i z Dawidem Nিকেlem na Berlinale dla „Body/Ciało” (2015).

Członka polskiej mafii w Ameryce zagrał pan w „Trzech sekundach” (2019) Andrei Di Stefano. Obsada była znacząca: Joel Kinnaman, Rosamund Pike, Ana de Armas, Clive Owen.

– Z Clive'em Owenem poznałem się wcześniej, gdy Małgosia była w jury w Berlinie, w roku 2016. Z nim, z Meryl Streep i z włoską aktorką Albą Rohrwacher.

W „Trzech sekundach” zostałem obsadzony w dniu, w którym zmarła moja matka. Chorowała od lat. Umówiłem się z jej lekarzem, że da mi znać, kiedy koniec będzie bliski. Ostatnie pół roku spędziłem razem, opiekowałem się nią. I pewnej środy, gdy okazało się, że opieką domowa, ja i mój brat, była niewystarczająca, odwieźliśmy ją do hospicjum. Bardzo to przeżywałem, schudłem prawie 10 kilogramów. Wróciłem do Warszawy w nocy ze środy na czwartek. Spałem cały czwartek. Gdy wstałem rano, był już piątek, a ja sądziłem, że to czwartek. Wtedy dostałem telefon, że mama zmarła. Wsiadłem w auto i rura z powrotem do Poznania.

W sobotę mieliśmy z żoną i z dziećmi lecieć na Sardinie, na plan zdjęciowy, na którym grała Rohrwacher. W drodze do Poznania kolejny telefon – z Londynu, że obsadzili mnie w „Trzech sekundach”. Na szczęście wujek ma zakład pogrzebowy na Dolnym Śląsku, pomógł mi wszystko zorganizować. Przejechałem astronomiczną liczbę kilometrów. W sobotę ra-

**Teatr to nie jest świątynia,
do której chcę chodzić.
Wybrałem plan filmowy
– cygański i obwoźny, z bandą
wagabundów**

no znów byłem w Warszawie, spakowaliśmy się z żoną. Zamknąłem oczy w samolocie i otworzyłem je już na miejscu. Docieramy do domu na Sardinii i odbieram następny telefon – w niedzielę mam być w Londynie na próbie czytanej. Mówię, jaka jest sytuacja, że wpadnę na następną próbę. Odpowiadają: „Mamy tylko jedną próbę. Od razu generalną”. Ledwie zamknąłem oczy, małżonka wali mnie po policzku: „Wstawaj”. Przez Mediolan poleciałem do Londynu.

Jak tam poszło?

– Pierwszy raz byłem w słynnym Pine-wood Studios. Akurat kręcili tam „Gwiezdne wojny”. Była afera, bo zwolnili reżysera. Aktorzy chodzili w kostiumach od miesiąca, codziennie przygotowując ten sam dzień zdjęciowy. Wszedłem na naszą próbę. Owen, jak mnie zobaczył, zdębiał: „Matti, hello! Siema, stary!”. Przybiliśmy piątkę przy całej ekipie. Ludzie patrzą: „A, to dlatego on tu gra! To kumpel Clive'a Owena”.

Już na tej próbie wszyscy aktorzy mieli przygotowane role. Mnie wystarczył mój wschodni akcent. Reżyser powiedział, że zostałem zatrudniony, bo w życiu nie widział, żeby ktoś przysłał tak chujowe nagranie na casting. „Musiałem cię zobaczyć w realu” – przyznał. Bo ja nagrałem byle co i byle jak, w kuchni. Przecież umierała mi matka!

Wróciłem na Sardinie. Dużo laziłem, jak lubię. Zarosłem: kudły i taaka broda. Zarośnięty pojechałem do Londynu na zdjęcia. Moja rola to był numer siedem pod względem ważności. A top 10 to pierwsza obsada. Na zachodnich planach panuje kastowość, która ma też jednak pozytywne konsekwencje. Usiadłem do charakteryzacji. Szkocka szefowa charakteryzatorki odezwała się do mnie angielskim, którego w ogóle nie rozumiałem. W takich sytuacjach mówię: „Okej, no problem”. Ostro mnie ogoliła. Dostałem kostium. Gdy wyszedłem, zaczął mnie producent: „Przepraszam, kim pan jest?”. „To ja, nie poznajesz?”. Powiedziałem, że ta przemiana to zasługa charakteryzatorki i ludzi od garderoby. Za chwilę pukanie do mojego kampera – znów proszą mnie do charakteryzatorki. Słyszę: „Chcieliśmy ci podziękować. Rzadko się zdarza, żeby aktor powiedział producentowi, że robimy dobrą robotę”. Zostałem nawet upomniany przez producenta, że nie mogę tak bardzo asymilować się z ekipą, bo to w złym świetle stawia innych aktorów. Dziewczynom z charakteryzatorki kupiłem w prezencie szampana.

Zagrał pan w nominowanym do Oscara „IO” Jerzego Skolimowskiego.

– Skolimowski poprosił, żebym zagrał kierowcę, co automatycznie wiązało się ze zrobieniem prawa jazdy na tira kategorii C. Zrobiłem je w listopadzie, zdjęcia były w grudniu. Prawo jazdy robi się na trochę mniejszej ciężarówce, za to ekipa wynajęła wielką, z przyczepą.

Nie ma zbyt wielu aktorów z prawem jazdy kategorii C. Dlatego stałem się ukochanym aktorem oświetlaczy. Gdy po planie jest impreza, mogą odwieźć ich ciężarówką do hotelu. A ja wiem, że wsparcie ekipy jest kluczowe dla zrobienia dobrej roli.

W „11 minutach” (2015) dostałem drobniaczek, w „IO” dramatyczny epizod, w którego finale widownia podskakuje. W następnym filmie Skolimowskiego główni-ka biorę w ciemno. ●

• **Anna Netrebko przed wybuchem wojny była jedną z najlepiej wynagradzanych artystek w Met**

FOT. HANS PUNZ/EAST NEWS

Odszkodowanie dla „poplecznicy Putina”

W sądzie z operą



Rosyjska śpiewaczka Anna Netrebko dopięła swego – dostanie od nowojorskiej Metropolitan Opera 200 tys. dolarów odszkodowania. Od lat przypisuje jej się proputinowskie sympatie.

Anna S. Dębowska

Peter Gelb, dyrektor Metropolitan Opera w Nowym Jorku (Met), po ataku Rosji na Ukrainę postawił Annie Netrebko ultimatum – jeśli nie potępi wojny, to mimo że jest wielką gwiazdą tego teatru, nie będzie miała wstępu na scenę.

Netrebko od dawna zaliczana była do grupy artystów mniej lub bardziej jednoznacznie popierających prezydenta Rosji Władimira Putina. Głosowała na niego, wyrażała lojalność.

Do 2022 r. nic nie było w stanie zachwiać wysoką pozycją Anny Netrebko w Metropolitan Operze w Nowym Jorku.

Po wybuchu wojny artystka wydała w sumie trzy oświadczenia w mediach społecznościowych, w których widać się jak piskorz, usiłowała pogodzić ogień z wodą. Pisała, że wojna jest złem, ale nie chciała nazwać po imieniu tego, który to zło spowodował.

Decyzja Petera Gelba była natychmiastowa i sprowadziła się do wykreślenia artystki ze wszystkich uzgodnionych z nią obsad. Netrebko straciła przez to udział w 13 przedstawieniach, m.in. tytułową rolę w operze „Turandot” Pucciniego, czelowe partie w „Don Carlosie” i „Mocy przeznaczenia” Verdięgo oraz „Andrei Chenierze” Umberta Giordana. Netrebko przed wybuchem wojny była jedną z najlepiej wynagradzanych artystek w Met – za każde przedstawienie otrzymywała 15 tys. dol., podaje „The New York Times”.

Peter Gelb zapowiedział też w mediach, że Netrebko nie wróci do Met, dopóki nie skończy się wojna prowadzona przez Rosjan w Ukrainie.

Jak pisaliśmy, w czerwcu ubiegłego roku Netrebko pozwała operę do sądu, oskarżając Gelba o dyskryminację i domagając się odszkodowania w wysokości 350 tys. dol. Poparł ją wówczas znany prawnik Alan Dershowitz, obrońca podejrzanych moralnie milionerów i przestępców seksualnych – O.J. Simpsona, Donalda Trum-

pa, Harveya Weinsteina i Jeffreya Epsteina.

Sprawa trafiła do rąk rozjemcy, Howarda C. Edelmana, specjalisty od prawa pracy ze stanu Nowy Jork, który uznał, że Netrebko jest „bez wątplenia poplecznikiem Putina, ale ma do tego prawo”. Natomiast zerwanie z nią umów na role jest niezgodne z prawem, a moralne powody, którymi kierował się dyrektor Gelb, nie miały tu nic do rzeczy.

Opera podpisała z artystką umowy na konkretne role, a w kontraktach zawarto zapis zabezpieczający ją przed ewentualną zmianą zdania ze strony angażującego ją teatru („pay or play”). Rozjemca wyliczył, że artystce należy się ponad 200 tys. dol. odszkodowania, lecz nie 350 tys., jak tego chciała Netrebko. Pozbawił ją też złudzeń co do innych roszczeń.

Anna Netrebko dodatkowo wносиła bowiem o 400 tys. dol. odszkodowania na poczet odwołania planowanych wcześniej spektakli z jej udziałem w nadchodzących sezonach artystycznych. Według „New York Timesa” chodziło o role tytułowe w „Manon Lescaut” i „Tosce” Pucciniego oraz o główne partie w „Damie pikowej” Czajkowskiego i „Makbecie” Verdięgo. Ponieważ jednak obie strony nie zawarły umowy na te role, nie było podstaw do roszczeń.

Rosyjska śpiewaczka od dawna zaliczana była do grupy artystów mniej lub bardziej jednoznacznie popierających Putina

Co więcej, rozjemca Howard C. Edelman nakazał gwiazdzie wypłacenie teatrowi kary w wysokości 30 tys. dol. Kara ta ma wymiar moralny, jest obciążeniem finansowym związanym z nieodpowiednimi – zdaniem prawnika – wypowiedziami artystki w mediach społecznościowych niedługo po agresji Rosji na Ukrainę.

W obliczu tej tragedii Netrebko ośmieliła się nazwać zachodnią opinię publiczną, która domagała się od niej opowiedzenia się przeciwko Kremlowi, „takim samym przejawem zła, jakim są ci ślepi agresorzy” – w domyśle: żołnierze Putina. ●